

ZMYSŁY



# MIŁOSNE SAMOGŁOSKI

**JOANNA BRAUN, SCENOGRAFKA:**

Nie miałam pojęcia, jak się piecze, smaży, gotuje, ale próbowałam. I patrzyłam, jak Olo grzecznie przełykał. Ale od czasu do czasu widziałam, że mu smakuje. W tym sensie czułam erotykę.



GRAZYNA MAKARA

Joanna Braun w swoim mieszkaniu. Kraków, kwiecień 2021 r.

**KATARZYNA KUBISIOWSKA:** Policzyłaś te zwierzątka?

**JOANNA BRAUN:** No co ty! Nieskończoność?

**Jak je robił?**

Kompulsywnie. Myślał swoje, to jest pewne, a ręce z długim mu same chodziły. Siadał przy biurku od strony okna, bo palił. I strugał.

**Pierwsze zwierzątka od Ola Siemaszki?**

Dostałam w naszym długim narzeczeństwie. Kiedyś przyszedł po świętach, które jeszcze spędziliśmy osobno, i przyniósł tego drewnianego ptaka na długich czerwonych nóż-

**JOANNA BRAUN** ma w dorobku ponad 150 realizacji scenograficznych w teatrach dramatycznych, lalkowych, teatrach tańca, wiele z nich było nagradzanych na przeglądach i festiwalach. Od 2004 r. prowadzi zajęcia w PWST (obecnie AST) w Krakowie na Wydziale Reżyserii Dramatu. W 2020 r. wystawiała fragmenty opery Mozarta „Apollo i Hiacynt” w ramach cyklu „operaOk” – wideoinstalacji oper barokowych i klasycznych Warszawskiej Opery Kameralnej.

kach. Olo potem zrobił mu nowe nogi, bo stare ułamały się i zaginęły. Ale w końcu znalazłam te stare łapki, teraz ma dwie pary.

**Figurki są, Ola nie ma.**

Po jego śmierci miałam trudne pięć lat. A teraz nastąpił rok szósty, w którym znalazłam sobie miejsce, bez Ola.

**A te pięć lat?**

Szukałam kontaktu. Spadło piórko – to Olo posłał, myślałam. W ostrej żałobie trafiłam na książkę, którą polecił mi ktoś, kto wiedział, że odbijam się od ściany do ściany i od ziemi do nieba. To był „Rok magicznego myślenia” Joan Didion, amerykańskiej dziennikarki, której mąż zmarł nagle w trakcie kolacji – głowa upadła mu na talerz, a ona myślała, że to żart. W tym samym roku zmarła córka Didion.

**Potem zachorowała sama Didion.**

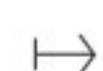
Czytając tę książkę zdałam sobie sprawę, że nasz rozum, który funkcjonuje w rozmaitych sytuacjach, może odlecieć w dowolne rejony, które niezbędne są mu w danej chwili. A nuż tam właśnie znajdę odpowiedź, dlaczego to się zatrzasnęło i czy na pewno na zawsze, a jeżeli na zawsze – to może jest jakaś inna, nieznana mi forma współbycia, jakiś metafizyczny duchowego porozumienia? Taki odlot. Minął.

A Didion, ta wykształcona i mądra kobieta, zgodziła się na sekcję zwłok męża, bo mogła ona wykazać, gdzie jest błąd powodujący, że ukochany żył, a nie żyje. Jednak nie zgodziła się na to, by oddać jego organy na ratowanie innego życia. Powód: bo jak on będzie żył bez tych organów?

**A te piórka od Ola?**

Maleńkie i prawdziwe. Zdarzało się, że spadały tu w pokoju z zamkniętym oknem. Ja ich nie robiłam, a ptaki nie latały przez pokój. Niehigienicznie zamykam okno w październiku, otwieram w marcu, dopiero jak jest właściwa pogoda.

Można to nazwać myśleniem magicznym, ale ja widzę w tym uporczywe szukanie kontaktu. Taki przykład: latami z Olem jeździliśmy do Wdzydz Tucholskich, to było nasze centrum wszechświata. Robiliśmy sobie miesiąc wakacji bez żadnych dodatkowych obowiązków – chodziliśmy po okolicach po 10, 20 kilometrów. Ostatnie zdjęcie Ola zrobiłam na tle wyspy Trzpcyn, zwanej potocznie Trupczynem. Symboliczne, prawda? Kilka godzin później Olo miał zawał, umarł po sześciu dniach w pobliskim szpitalu w Kościerzynie. W niedzielę, urodził się też w niedzielę.



### ⇒ Co było potem?

Jeździłam po śmierci Ola do Wdzydz, bo tam go było najwięcej. I pisałam haiku – w ten sposób szukałam z nim kontaktu. W ubiegłym roku byłam we Wdzydzach – przeszłam nasze wspólne szlaki, najczęściej był to czarny szlak, ale już haiku nie pisałam. Czyli pewien etap żałoby zamknęłam. A teraz skupiam się na tym, jak cudownie, że to nasze uczucie zdarzyło się, że mieliśmy siebie. Niektórym nigdy nie udaje się przeżyć miłości. Wiesz, że Olo się nie spóźniał?

### To ważne?

Bardzo. Jak ktoś się spóźnia, to ja tego kompletnie nie rozumiem, myślę, że wpadł pod tramwaj i umarł. Olo zawsze był na czas, nigdy nie musiałam myśleć, że coś mu się stało.

Olo młodszy był ode mnie o 11 lat. Ale mimo chłopięcej aparycji był starcem zapatrzonym w swoje Bizancjum po upadku Bizancjum – tym zajmował się naukowo. W gościach prawie się nie odzywał, oczywiście jak trochę wypił, to robił się bardziej rozmowny, jak wszyscy – po to jest wino i inne pyszności. Znajomy o Olu powiedział: niby udaje, że go nie ma, a reaguje na każdą sytuację uśmiechem lub kiwnięciem głowy. Małomówność Ola ogromnie mi odpowiadała. Myśmy siedzieli przy tych biurkach, każdy zajmował się swoim. Olo od czasu do czasu wyczuwał moją potrzebę, rzucał: „A może kawy byś się napiła?”. Akurat wtedy, kiedy było trzeba. Poza tym żył jak mnich. Przebierał się za Mikołaja dla dzieci Andrzeja Witkowskiego i uczestniczył w jego życiu rodzinnym. Potem wracał do swoich książek.

### I zwierzątek?

A zauważyłaś, że one są wszystkie ustawione w jednym kierunku? Do światła. Tylko w tym miejscu, na makietniku z Teatru Ludowego. Tuż po dyplomie robiłam z Ireną Babel sztukę „Filip z prawdą w oczach” Janusza Krasińskiego. I rozszalałam się wtedy, a potem coraz bardziej i bardziej – pracy w zespole trzeba się długo i czujnie uczyć, relacje bywają trudne, bo namiętne zazwyczaj, a jeśli nie – to nie warte zachodu. Aż pewnego dnia roku 1997 okazało się, że minęło 30 lat od dyplomu, więc wypada okrągła rocznica. Z tej okazji do tego makietnika dorobiłam scenografię, czyli czerwone schody, a w środku z Olem postawiliśmy zwierzątko: soliści, chór, balet... Kilku znajomych zaprosiłam, odsłoniła się kurtyna. Ten makietnik jest ze światłem, którego normalnie nie włączam, ale wtedy dałam zaćmę kolorową. Szła muzyka – „Nabucco” Verdiego. Było uroczyście.

### A Wasza codzienność?

Olo szedł do swojej biblioteki do Instytutu Historii Sztuki UJ, gdzie pracował. Jak coś zapomniał i zostawił w domu, to ja mu przynosiłam, ale czułam, że woli, żebym się nie zagnieżdżała za często, tam był jego rewir. A o czternastej przychodził regularnie na obiady. Traktowałam je jak randki.

### Obiady?

Posiadam kilka teczek  
z papierem, których  
nie wykorzystam,  
nawet gdybym żyła trzysta lat.  
Gdy widziałam piękny papier,  
kupowałam od razu,  
**bo daje przyjemność  
zmysłową i wyobraźniową.**

Obiady. Moja mama nie była w stanie jajecznicę usmażyć – odziedziczyłam to po niej. W czasach sukcesów zawodowych mamy była pani, która prowadziła dom, gotowała itd. Potem to już było tylko zbiorowe żywienie, pierogi u Kapusty w Krakowie, a bywały też gorsze adresy. Ja nie miałam w ogóle pojęcia, jak się piecze, smaży, gotuje, ale ambitnie próbowałam. I tylko patrzyłam, jak Olo grzecznie przełykał. Ale od czasu do czasu widziałam, że mu smakuje. W tym sensie czułam erotykę – bo karmiąc raczy się dobrem zmysłowym, tu przecież spotyka

się wzrok, węch, smak, dotyk. I tak krok po kroku przez te nasze wspólne ćwierć wieku gotowałam obiady. Ale do końca był niepokój: dogodzę mu czy nie dogodzę.

### A jak dogodziłaś?

W jego oczach było to widać. Do tego lekko się uśmiechał, a ja wtedy to już całą gębą. Wspecjalizowałam się w zupie dyniowej. Mam mnóstwo książek kucharskich, nawet z lat czterdziestych. Mama po przejściu na emeryturę też miała ambicje. Ale gdzie tam, nie osiągnęła większych sukcesów.

### Gdzie je w takim razie osiągnęła?

Była lekarzem – w powojennej Polsce planowała logistykę walki z gruźlicą. Pamiętam, jak w wieku czterech lat wjechałam na nocniku w trakcie szwedzko-polskiej narady gruźliczej, która odbywała się w naszym domu w Sopocie.

Choć mama miała inne plany na przyszłość: starała się na Akademię Sztuk Pięknych – nie dostała się; do Szkoły Teatralnej – nie dostała się; poszła na medycynę – dostała się. Jej narzeczony chorował na gruźlicę, więc wybrała jako specjalizację ftyzjatrię. Nie pomogło, zmarł na jej rękach. Wśród zdjęć rodzinnych jest jego zdjęcie, był bardzo przystojny.

Karmiła się moimi teatralnymi spełnieniami; celebrowała premiery, zbierała recenzje – i tak na co dzień była ze mnie dumna.

### A Sopot skąd się wziął?

Przyjechaliśmy tam z Warszawy, gdzie się urodziłam. Potem była Szklarska Poręba, dalej Olsztyn i Kraków od mojego szesnastego roku życia. Mamę coś gnało, może jakieś konflikty, o których nic nie wiem? Tata mnie zmaistrował, jak miał 65 lat, więc między nami kontakt był praktycznie żaden. Tym bardziej że jako geodeta mieszkał „w terenie” – z rodzinnego domu nie wyniosłam modelowego wzorca małżeństwa. Wręcz przeciwnie. Gdy mama pracowała w Gdańsku, to tata w Człuchowie.

A na Politechnice Gdańskiej studiował jego syn z poprzedniego małżeństwa. W czasach, kiedy nie było domofonów, nagle dzwonek do drzwi i staje przede mną jakby odmłodzony ojciec. A to przyrodni brat, szesnaście lat ode mnie starszy. Coś załatwiał w Krakowie, skądś miał mój adres i przyszedł. Powiedział, że bardzo jestem podobna do mamy. To mnie podnieciło, że mam brata, że kogoś mam, bo to już zdarzyło się po śmierci rodziców. I później, gdzieś jadąc, zatrzymałam się



GRAŻYNA MAKARA

W mieszkaniu Joanny Braun: obraz „Pokolenia” autorstwa Weruski Szmuc i zdjęcie, na którym jest Olo Siemaszko. Kwiecień 2021 r.

u niego w Warszawie, ale było obco. Z ojcem było podobnie – przyjeżdżał do domu na sobotę i niedzielę, brał mnie na lody, potem dostawałam anginę, kłócili się z mamą i wyjeżdżał do tego swojego Człuchowa. W Olsztynie ojciec był już z nami. Każdy miał osobny pokój, każdy miał swoje sprawy. Rodzice żyli bez więzi, ale poprawnie, bez napięć.

#### To wcale rzadkie.

Zawsze mieszkaliśmy w poniemieckich domach. Stamtąd są te rzeczy – stół, przy którym siedzisz, te dwa połączone biurka, a w tej szafie była encyklopedia niemiecka, którą podarowałam koledze, czego teraz żałuję bardzo. Ale wtedy nie żałowałam, książek zawsze było u nas mnóstwo. A potem, jak już zajęłam się scenografią i potrzebowałam rozmaitych źródeł, to kupowałam dziwaczne książki – o guzikach, o lampach naftowych, o wnętrzach mieszczańskich. Zbyszek Mich, reżyser, z którym latami pracowałam, znalazł kiedyś w mojej bibliotece książkę o teatrze papierowym. On się zachwycił i ja się zachwyciłam.

#### Najpierw powiedz, co Cię zachwycia w samym papierze.

Cielesność. Posiadam kilka teczek z papierem, których nie wykorzystalabym, nawet gdybym żyła trzysta lat. Gdy widziałam piękny papier, kupowałam od razu.

#### Piękny papier to jaki?

Dający przyjemność i zmysłową, i wyobraźniową. Kiedyś zrobiłam cykl o Pinie Bausch na papierze smołowanym. Moment, wyciągnę „Pinę” z szafy – dotknij. Niby sztywny, a giętki – czujesz? W środku jest smoła i opakowywano w taki papier tłuste narzędzia. Ja pomyślałam, że jak jest smoła, to musi reagować na ciepło, w związku z tym żelaz-

kiem przejechałam i natychmiast wyszedł kontur. Kupiłam lutownicę. Całą Pinę narysowałam lutownicą.

#### A ten pognieciony papier?

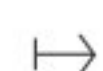
Zgniecenie zaburza porządek – linii, druku. Gnieciuchy robię sama – one pomagają przezwyciężyć znany pisarzom i malarzom lęk przed czystą kartką. Jak mam wypełnić coś zniszczonego, to lęk maleje – wszystko jedno, czy działam piórem, lutownicą, pędzlem. Bo niby mniej błędów robię. To oczywiście nieprawda, ale tak sobie tłumaczę.

#### Co zachwycia w teatrze papierowym, który swoje pięć minut miał dwa wieki temu?

Wiedeńczycy, londyńczycy, berlińczycy nie mogli wtedy żyć bez opery. I ja też nie mogę żyć bez opery i każdej innej formy wyrażania emocji muzyką. I to nie byle jakich emocji: gdy już nie można mówić, tylko śpiewać. A ci wiedeńczycy, londyńczycy, berlińczycy po spektaklu, na następny dzień, kupowali kartony litograficzne do produkcji własnej. Najpierw traktowano je jako ozdobę salonów, potem – towarzyską rozrywkę. To była muzyka, wdzięk i czułość – fascynacja małym i kruchym, wspólnotowość i intymność, kameralna odświeżność – ta dramaturgia paradoksów, na którą jestem czuła.

„Fanny i Aleksander” Bergmana zaczyna się od napisu „nie tylko dla przyjemności”, który oryginalnie znajduje się nad widownią Duńskiego Teatru Królewskiego w Kopenhadze. Gdy kamera odjeżdża, okazuje się, że napis ten widnieje nad sceną papierowego teatru w domu Ekdahlów.

Kiedy odkryłam papierowy teatr, to chciałam do końca życia wyłącznie nim się zajmować. Właśnie dzięki zmysłowej



→ miłości do papieru. Spójrz, za tobą stoi tułów manekina oblepiony kolorowymi papierkami, podobny widziałam kiedyś na wystawie w Toskanii. A ten oblepiałam z Sasią, moją wnuczką, swoją drogą nieszczególnie ją ta praca pociągała. Ale samo oblepienie ścinkami daje mnóstwo życia, łamie martwość.

Tu jestteczka z dokumentacją do „Dziadka do orzechów”. Wszystko własnoręcznie robione w różnych fakturach, noc w papierze flow, niby aksamitnym, takim, co się nim wykłada pudełka ze sztuczkami. I na tym malowałam temperą. Wieczór wigilijny to była akwarela – najtrudniejsza technika malarska – wykonana na papierze japońskim.

Najpierw wystawiliśmy „Dziadka...” w Düsseldorfie, gdzie w 1989 roku Zbyszek założył Teatr für Mich, z siedzibą w tamtejszym Muzeum Teatralnym. A potem w Warszawie w Teatrze Guliwer. To jest „Apollo i Hiacynt”, opera napisana przez 11-letniego Mozarta. Apollo to był Piotrek Skiba, Kuba Ostaszewski był Zefirem, Hiacyntem – syn Iwony Zuziak, który zmarł młodo. Przez Zbyszkę Bielawkę fotografowani byli w majtkach, z których ich potem „rozbierałam” i zdobiłam czarno-białymi szarfami.

**W ubiegłym roku dla Opery Kameralnej wyreżyserowałaś ponownie „Apolla i Hiacynta”. Sama się tam pojawiaasz jako narratorka – Ty i śpiewacy swoje sceny nagrywaliście we własnych mieszkaniach.**

Realizacja była cudowna: trzy lampy z Ikei. Do mojego śpiewającego portretu sylwetowego potrzebowałam prześcieradła – okazało się, że tony pościeli zalegające moje szafy są bezużyteczne, bo nie mam białego prześcieradła. Niby do wyboru, do koloru... a biały to kolor?

**Kolor?**

Oczywiście: jak czarny – graniczny. Bo przecież cała tęcza i jej mutacje, odmiany, półtony mieszczą się pomiędzy. Biały – jeszcze się nie zaczęło; czarny – już się skończyło: wszystkie kolory poźarte. Przy „Hiacyncie...” pracowała też bardzo kreatywna Monika Stolarska, odpowiedzialna za zdjęcia i montaż. Nagraniami zajęli się fachowcy z Warszawskiej Opery Kameralnej i dyrygent Kuba Wilk. A ja kontrolowałam to, co widziane.

Każdemu po kolei śpiewakowi przekazywałam, co ma być widoczne w profilu, który już sami w swoich domach nagrywali. Przesłałam wszystkim wzorzec-nagranie: zza rozwieszzonego, odpowiednio podświetlonego prześcieradła sama śpiewam sto lat.

**W tej operze co jest Ci najbliższe?**

Zmartwychwstanie, przemiana zmarłego Hiacynta w kwiat. Kwiat wielokwiatny – wszelkie odmiany obecności emocjonalnej – czyli smutek, radość, tęsknota, zdziwienie, zamyślenie.

**A „Serena”, którą chcesz wystawić na podstawie „Małej syrenki” Andersena?**  
To traktat o samogłoskach.

**Dlaczego samogłoskach?**

Bo tylko samogłoski mogą wyrażać żalobę.

**Żalobę po Olu?**

„Serena” mówi o tym, że ukochany paskudnie zdradził mnie ze śmiercią, skurwysyn.

**Kiedy zaczęłaś pisać „Serene”?**

Pół roku po śmierci Ola. I zaczęłam od końca. Najpierw napisałam monolog Sereny, który zaczyna się koloraturą szlochu, to kaskada samogłosek. A w nich dwa nurty: przyjazne, toczące się a, o, u – oraz niespokojne, podejrzliwe e i y. Jak dwa żywioły, które wciąż przekracza Serena: przyjazną wodę i niespokojną ziemię.

Rezultat – ani tu, ani tam: niespełnienie, brak, szukanie.

**Skąd to szukanie?**

Od dziecka chciałam popełnić samobójstwo. I to trwało dekadami. Za mąż wyszłam jeszcze na studiach. Tyle że natychmiast po ślubie mój mąż wylądował w zakładzie psychiatrycznym. Mój cykl dnia wyznaczało malowanie i odwiedziny w klinice, malowanie i klinika, malowanie i klinika. Dopiero po iluś tam miesiącach zaczęli męża wypuszczać na weekend, spuchniętego od leków i nieprzytomnego po elektrowstrząsach. Gdy mąż na dobre wrócił do domu, kompletnie się nie znaliśmy. Obcy, bez prawdziwej relacji.

Potem było drugie małżeństwo, z Jackiem – z zawodu fotografem. Byliśmy nawzajem zaangażowani w swoje projekty. Jak nie mogłam wybrnąć z jakimiś kostiumami, to Jacek zaczynał rysować dla mnie postać. Tutaj, pod piecem, stała beczka prawdziwa z kostiumami do jego zdjęć, też mu czasami coś podpowiadałam. Wszystko się zmieniło, gdy urodziła się nasza córka Weruszka. Jacek dalej zajmował się swoimi artystycznymi sprawami, a całe rodzicielstwo zostawił mnie. Radziłam sobie, lecz z trudem – a miałam wielką potrzebę pracy, realizacji pomysłów. W końcu się rozeszliśmy.

**I co z tym samobójstwem?**

Przestałam o nim myśleć, gdy na świecie pojawiła się Weruszka. Poczułam, że teraz jestem potrzebna. Bo jako dziewczynkę nikt mnie nie przytulał, nie uczestniczył w moich emocjach. W związku z tym nauczyłam się, że póki umiem, to przeżywam sama... A to „póki” to było: póki sobie nie wymyślę, że teraz wejdę do wody i utopię się. Ale wychodziłam z tej wody, wracałam. Tak jak wyciągałam głowę z piekarnika, gdy pierwszy mąż był w psychiatryku, a ja sobie z tym kompletnie nie radziłam.

Więc moim prezentem od losu była Weruszka, którą urodziłam, gdy miałam 30 lat, i Olo, którego spotkałam, gdy miałam 50. W przyszłym roku kończę lat 80, to mogę różne sprawy podsumowywać. Z moją przyjaciółką, Majką Maj, często gadamy, w czym czujemy się spełnione. Jak przeszkukuję szafę i znajduję stare projekty, to myślę, że fajne były, aż się dziwię. Nie pamiętam większości z nich. Rozbudzają – przygasłe już – wspomnienia. Więc zawodowo czuję się spełniona – przeszłość karmi teraźniejszość i moja aktywność nie ustaje. A prywatność? Troskliwa Weruszka, dojrzewające wnuki i mieszkanie-pracownia pełne zwierzątek. I wszystkie takie ku jasności. No to ja też.

© Rozmawiała KATARZYNA KUBISIOWSKA